Rok XXIV. We Lwowie, dnia 4. maja 1917. Nr. 18.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 13·— K.
półroczna . 7·— „
kwartalna . 3·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

O szkołę katolicką.

W szóstym numerze „Gazety Kościelnej“ z bieżącego roku ukazał się artykuł X. Dra J. Lubelskiego pod tytułem *Caveant consules*. Jak sobie zapewne czytelnicy dobrze przypominają, czcigodny autor, mówiąc o zjeździe nauczycielskim w Radomiu, nawoływał do czujności przed grożącem Kościołowi w przyszłej szkole polskiej niebezpieczeństwem. Niech mi wolno będzie dzisiaj podjąć myśl jego i rozsnuć ją cokolwiek dalej.

Czy może my wszyscy w kwestyi szkoły i wychowania młodzieży nie błądzimy trochę, trwając od lat ciągle na stanowisku negatywnem?

„Czuwajmy, by nasz stan posiadania (pożal się Boże, jak mały!) w dzisiejszej szkole nie został jeszcze uszczuplony w szkole przyszłości... czuwajmy, byśmy nie utracili resztek wpływu na nauczanie i wychowanie młodzieży w Polsce,... czuwajny“... Czy to wszystko trochę nie za mało?

Czy już raz nie moglibyśmy się zdobyć na coś bardziej pozytywnego? — Zwłaszcza dziś, gdy wszystko zdaje się wskazywać, że w ojczyźnie naszej zacznie się budowanie na wielką skalę i to na wszystkich polach, a już nie najmniej na polu szkolnictwa, więc nauczania i wychowania zarazem.

Czemże bowiem są te właśnie zjazdy w Królestwie, czem są te częste narady naszych kół Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, czem są te nowe okólniki Rady szkolnej krajowej, jeśli nie zapowiedzią wielkich reform w naszem szkolnictwie, zapowiedzią zbudowania polskiej, narodowej szkoły?

Wspaniały to cel, prześliczne zadanie, nie powinno też przy jego układaniu i rozwiązywaniu braknąć naszego duchowieństwa i tutaj napewno hasło *Caveant consules* jest zupełnie na miejscu i zupełnie na czasie.

Ale to wszystko naprawdę zamało! J e s t e ś m y n a p r a w d ę n a r o d e m n a w s k r ó ś k a t o l i c k i m i m y m u s i m y m i e ć s z k o ł ę k a t o l i c k ą! Przy najlepszych zaś nawet widokach na przyszłość polska szkoła rządowa nawskróś katolicką nie będzie. Czy rząd polski zdobyłby się na szkołę wyznaniową wobec rosnących coraz bardziej wpływów żydowskich, to jeszcze wielkie pytanie — a przypuściwszy nawet, żeby tak było, czy i o ile ta szkoła wyznaniowa zachowałaby katolicki charakter i katolickiego ducha, to zdaje się pytanie jeszcze większe, wobec krzykliwych partyi liberalnych, które gwałtem pchają się u nas do steru spraw publicznych.

Cóż wobec tego czynić?

Numer 1 „Gazety Kościelnej“ z r. b. przyniósł nam (w kronice) krótki, ale ciekawy artykuł o działalności duchowieństwa katolickiego w Belgii. Dowiedzieliśmy się zeń ze zdziwieniem może, że katolicy tamtejsi mają swoje nietylko wyznaniowe, ale wprost biskupie, kościelne szkoły; że jedna tylko dyecezya leodyjska posiada samych gimnazyów biskupich 17, a 2 biskupie seminarya nauczycielskie. Zdaje mi się, że to już wystarczy, by wyjaśnić każdemu najwyraźniejszy, najbardziej podstawowy powód siły i znaczenia stronnictwa katolickiego w tym kraju. Oto ono samo chowa sobie ludzi i chowa po Bożemu, po katolicku! Nic dziwnego, że przy tych gimnazyach tak wspaniale się rozwija sławny już w świecie, katolicki uniwersytet w Lowanium.

Wszystko tam z jednej płynie idei, jedną trzyma się myślą, bardzo głęboką, bardzo mądrą i Bożą.

A u nas?

Jeśli kiedy, to dziś powinniśmy sobie otwarcie powiedzieć: „i m y m u s i m y m i e ć k a t o l i c k i e s z k o ł y, choćby niewiele, choćby kilka, szkoły biskupie, czy inaczej zorganizowane — mniejsza o to, byle katolickie“!

Niema chyba nikogo w całem duchowieństwie polskiem i wśród całej inteligencyi naszej katolickiej, ktoby doniosłości tej sprawy nie rozumiał i nie przyznał.

Wystarczy rzucić okiem na dzisiejszą szkołę średnią w naszej Galicyi i na warunki, jakie ona daje, już to

dzięki swej organizacyi, już to z konieczności religijnemu wychowaniu.

Najpierw uczniowie! W jednej i tej samej klasie, w różnym, czasem nawet smutnym dla nas procencie, uczniowie polscy, katoliccy i nie polscy i nie katolicy! Dwa narody, dwie wiary, dwie, co najważniejsza, etyki oddziaływają na siebie nieustannie przez obcowanie i koleżeńskie stosunki, a kto na tem najgorzej wychodzi — wiadomo!

Wiadomo, kto jest siewcą demoralizacyi i religijnego sceptycyzmu, kto w klasach wyższych propaguje socyalizm, kto prowadzi wstrętny, uboczny handel, kto przynosi obrzydliwe książki, broszury, kartki i rysunki pornograficzne, nawet przeróżne... „artykuły".

Wszak wiemy, że jest ktoś, komu bardzo zależy na zdemoralizowaniu chrześcijańskiej młodzieży, na odarciu jej z wiary i czystości obyczajów, że jest ktoś, komu bardzo zależy na upodleniu jej moralnem i fizycznem, bo na przyszłych ruinach łatwiej mu będzie wznieść własne pałace, ktoś wreszcie, co sam broni się zapamiętale, jak przed widmem — przed szkołą wyznaniową.

To jeden zatem wzgląd jakże poważny, jak doniosłego znaczenia! Inne zobaczymy za chwilę, przechodząc do nauczycieli.

Nie ubliżam nikomu — ani cienia nie mam podobnego zamiaru, owszem, z całym prawdziwym szacunkiem dla naszych gron nauczycielskich, wyznać jednak muszę, że na ogół stosunki religijne i duch religijny wiele w niejednym zakładzie pozostawia do życzenia. Pomijam już wprost wrogie występowanie — na szczęście naprawdę rzadkie — przeciw wierze objawionej i Kościołowi w wykładach literatury, czy historyi powszechnej, czy naukach przyrodniczych, ale udział w praktykach religijnych, ale te żegnania i modlitwy przed nauką i po niej, te inwigilacye w czasie nabożeństw szkolnych bez książeczki, bez zgięcia kolana, ten brak ciała nauczycielskiego przy Sakramentach świętych — jakże to wszystko, pytam, działa na naszą wrażliwą młodzież? Czy w niej nie wyrabia się konsekwentnie to zgubne, fatalne przekonanie, że ciężar religijny trzeba z konieczności dźwigać w gimnazyum, do matury, ale potem, ale na uniwersytecie zacznie się inne życie — akademickie, bez więzów dogmatu i przykazania! Tam — wiara, kościół, Msza św., spowiedź raz wreszcie już będą zbyteczne, śmieszne, nie męskie — jak to pokazuje swojem zachowaniem i postępowaniem ten lub ów profesor.

W ten sposób dziś już w szkole średniej przygotowuje się podatny grunt pod późniejszy indyferentyzm religijny. I nic dziwnego. Wpływ jest zbyt silny, zbyt częsty i trwały, by owo przelotne dwa razy w tygodniu ukazanie się w klasie, nieraz bardzo licznej, choćby najgorliwszego katechety mogło mu skutecznie przeciwdziałać. „Zresztą ksiądz tak mówi i uczy, bo musi, bo inaczej nie może — a ja przecież księdzem nie będę — a tamten przykład naśladować i łatwiej i wygodniej!...". Czyż tak nie rozumuje niejeden starszy nasz uczeń — i czy ze swego stanowiska nie widzi w takiem rozumowaniu w powyższych warunkach wiele słuszności?

Powiedzmy sobie już raz otwarcie, że coraz więcej młodzież inteligentna wysuwa się nam z ręki, że coraz mniej wpływu mamy na akademickie jej sfery i że sanacya tych warunków szybka, a nie dająca się ni uchylić ni odsunąć, musi się zacząć od podstaw, od stworzenia prywatnej a znakomitej katolickiej szkoły średniej, szkoły wyznaniowej, przystępnej dla szerokich warstw i o ile możności kierowanej bezpośrednio i prowadzonej przez ludzi świeckich.

Czy na te słowa nie potrząśnie ktoś z lekceważeniem głową, czy ktoś inny nie wspomni istniejących u nas w kraju dwóch czy trzech szkół i konwiktów zarazem, prowadzonych przez zgromadzenia zakonne — nie wiem. Być może! Rzecz jednak sama w sobie konieczna, nie jest przecież ani tak trudna, ani tak niemożliwa, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

Spróbujmy wyobrazić sobie, w pewnych możliwych zarysach, powstanie i urządzenie takiej szkoły.

W naszych stolicach biskupich istnieją małe seminarya. Czyby ich nie można uważać za fundament, za zawiązek kompletnej z czasem szkoły średniej biskupiej, z internatem na wzór szkół belgijskich? Czy gdyby nasi Najprz. XX. Biskupi uznali rzecz za odpowiednią i konieczną i wezwali kapłanów i wiernych do ofiar, nie popłynąłby obficie grosz na to najważniejsze, najbardziej podstawowe dzieło zbudowania szkoły nawskróś katolickiej szkoły nie dla bogatych i uprzywilejowanych tylko, ale dla wszystkich i jeszcze o ile możności — jak już wspomniałem — szkoły w wiadomem znaczeniu świeckiej?

Na tę świeckość bowiem szczególny właśnie położyłbym nacisk. Może ktoś, czytając te słowa, ze zgorszeniem wspomni dawne albo i dzisiejsze czasy i niepospolite usługi szkół i kollegiów klasztornych. Nie myślę niczemu przeczyć — a przecież sądzę, że na dzisiejsze czasy właśnie szkoła, prowadzona przez świeckich katolików, a tylko pośrednio kierowana przez duchowieństwo, zdaje się być szczególnie odpowiednia. Już nadmieniłem, że u nas dotąd szkoły średnie zakonne stoją otworem — i zresztą trudno, żeby było inaczej — tylko dla zamożnych. Ale to pomijam. Wzgląd najważniejszy to właśnie dzisiejszy „duch czasu" i dzisiejsze warunki. W dawnych czasach młodzież szlachecka, mieszczańska, czy potem urzędnicza szła u nas do szkół klasztornych z domów pełnych pobożności i religijnego ducha, przynajmniej w olbrzymiej większości. Dziś z tak zwanych domów inteligentnych przynosi pierwsze zarodki religijnego indyferentyzmu, tak dalece, że nieraz, jak mi ze strony kompetentnej mówiono, dom przez jedne święta lub wakacye potrafi ze szczętem wyniszczyć to, co zaszczepiła ręka katechety czy prefekta w całym roku. Nie dziwić się, gdy prawie wszyscy „świeccy", z którymi uczeń się styka, to ludzie albo nie praktykujący swej wiary, albo praktykujący ją z lękiem i w ukryciu.

Młodych zatem dziś trzeba otoczyć przedewszystkiem nauczycielami wierzącymi, pobożnymi, świeckimi katolikami z przekonania — trzeba im wskazać ich i dać za wzór — wzór, mówiący stokroć silniej niż wszystko, co nieraz mówi im katecheta.

Dobranie zaś takich sił nauczycielskich, sił wyborowych, wierzących żywo i po męsku, a przytem wykształconych nie tylko pod względem intelektualnym, ale co doprawdy ważniejsza, pedagogicznym, wychowawczym,

dziś jeszcze dzięki Bogu nie przedstawiałoby zbyt wielkich trudności.

A jakieżby wspaniałe owoce taka szkoła rodziła wśród młodzieży, któraby w niej widziała stale nie tylko katechetę i tego lub owego profesora, ale całe grono nauczycielskie z dyrektorem na czele z głębokiego, wewnętrznego przekonania wraz z sobą na modlitwie i na Mszy św. i przy częstej Komunii świętej, któraby w każdym przedmiocie, w każdej godzinie czuła głęboko, że podawana jej prawda, zalecane dobro, zachwalane piękno — to wszystko ułamki, cząstki, odblaski nieskończonej jedynej Prawdy, Dobra i Piękna — Boga!

Rzecz jasna, że i nad doborem młodzieży czuwaćby należało usilnie i nie dopuszczać do zakładu jednostek, choćby tylko trochę nieodpowiednich, zamykając jego bramę dla wszystkich obcych i ucząc i chowając zasadniczo tylko tych, którzy od pierwszej klasy do zakładu uczęszczali, względnie tych, którzy doń, choćby później, ale wprost z domu rodzicielskiego i z pod troskliwej opieki przychodzą.

Ileż naszych dobrych zresztą szkół i zakładów cierpi na tem, że jak tylko zdobędą sobie opinię naprawdę „dobrej szkoły“, nie mogą wprost oprzeć się prośbom i naleganiom rodziców, pragnących w nich umieścić swych synów, z którymi nigdzie dotąd rady sobie dać nie umiano. Pochlebne to dla zakładu, ale jakże szkodliwe, jak niebezpieczne! Zdemoralizowany już chłopiec najczęściej się nie poprawi, albo też powoli, powoli dojdzie do pewnej poprawy, lecz ilu przedtem popsuje kolegów, któż to zliczyć potrafi? Prawda, że jedna dusza nieskończoną ma wartość, ale nawet jej — takim kosztem okropnym ratować nie wolno.

Nie przeczę, że wszystko to napotkałoby, zwłaszcza w początku, na niezliczone trudności: niejedno trzebaby zwalczyć, usunąć, niejednym się narazić — ale nad tem wszystkiem górowałby cel, górowałaby idea wielka, najpiękniejsza, najwznioślejsza idea wychowania w szkole katolickiej setek inteligentnej a do szpiku kości katolickiej młodzieży, przyszłych obywateli kraju i państwa polskiego, przyszłych przewodników narodu.

Może się mylę, ale tak mi się to dziwnie jasnem zdaje, że inną drogą — a iluśmy już próbowali! — my do odrodzenia katolickiego naszej inteligencyi nie dojdziemy. Zapewne, że i dziś ta praca wychowawcza istnieje — ale niestety słaba i rozstrzelona po mnóstwie zakładów. Tu i ówdzie oddziaływa jakiś przyjaciel młodzieży serdeczny, profesor-katolik, pomagając katechecie, tu i ówdzie skupia garstkę młodzieży „Sodalicya Maryańska;“ rezultaty są niewątpliwie, ale to wszystko kropla w morzu. Większego trzeba wysiłku, większego skoncentrowania dążeń i środków — a sądzę, że właśnie stworzenie w najbliższych latach po wojnie takiej szkoły polskiej narodowej i katolickiej — stworzenie takich szkół kilku, choćby w najgłówniejszych miastach stołecznych, posunęłoby całą sprawę o olbrzymi krok naprzód, posunęłoby ku szczęśliwemu rozwiązaniu taką troską przejmujący nas problem katolickiej szkoły, katolickiego wychowania jak najszerszych kół naszej młodzieży. *x. j. w.*

Protest Towarzystwa św. Pawła

przeciw książce Prof. Smolki.

(Ciąg dalszy).

X. Szczepkowicz nie zasługuje bynajmniej na zarzut polonofilstwa, — owszem on widzi w nas także (jak inni „Ukraińcy“) nieprzyjaciół swojego narodu: „cudzych przeciwników“ (str. 121), których trzeba zwalczać; — a jednak porównywając działalność naszego kleru z pracą ruskiego, przyznaje nam ogromną wyższość i nawet może aż za wiele mówi o nas dobrego. Duchowieństwo polskie stworzyło (według niego) wielką „armię, złożoną z najrozmaitszych towarzystw, bractw, instytucyi i organizacyi świeckich z marką katolicką i dla celów chrześcijańskich, jakich u nas prawie niema. Armia ta operuje na wszystkich stanowiskach, a nasze zakony i nasze organizacye chrześcijańskie prawie nikną w porównaniu z polskiemi zarówno co do liczby, jak i co do pracy intenzywnej.. Po części niema się co dziwić i gniewać, że wielu wiernych naszego obrządku przechodzi na łaciński, bo rzecz całkiem naturalna, że ten, co się poświęca, mimowoli pociąga za sobą drugich. Nic też gniew nasz nie pomoże na to, że mieszczaństwo, stan rzemieślniczy i robotniczy i warstwy niższe proletaryatu wynaradawiają się po miastach i miasteczkach. Bo kto zbliża się do nich z ciepłem religijnem, kto przygarnia do siebie proletaryat, kto zajmuje się dziećmi opuszczonemi i umieszcza je w swoich zakładach, ten je ma. Co do nas znowu, to nie tylko zakony nasze nikną liczebnie wobec polskich, ale i duchowieństwo świeckie jest ni ezorganizowane, rozbite i podzielone na różnorodne frakcye i partye, a nadto wszystko jeszcze po wielkiej części nie rozumie, albo nie ocenia działalności i ofiarności w duchu chrześcijańskim. Duchowieństwo nasze dotychczas zwyczajnie „roznosiło owoce ofiary krzyżowej“[1]) po Besidach, kasynach i wszelkiego rodzaju towarzystwach świeckich, a zapomniało o potrzebach dusz biednych, nieszczęśliwych, potrzebujących ratunku i pociechy chrześcijańskiej“[2]) i t. d. (str. 108 nn.).

Inne też argumenty, które przytacza X. Szczepkowicz przeciw dalszemu tolerowaniu małżeństwa księży,

[1]) Jest to aluzya do frazesu użytego przez „Nywę“, która domagała się od duchowieństwa ruskiego, żeby popierało wszystkie stowarzyszenia świeckie i należało do różnych „klubów“ i „Besid“, żeby „roznosiło zbawienne owoce śmierci krzyżowej na wszystkie miejsca, wszystkie pokolenia i wszystkie czasy“; hasło to bardzo wzniosłe, ale w „Nywie“ zostało, jak mówi X. Szczepkowicz „naciągnięte i nadużyte do wypaczenia prawdziwego pojęcia o pracy apostolskiej duchowieństwa“ (str. 44). Wielu księży ruskich, idąc za tem hasłem, zaniedbuje właściwej pracy pasterskiej, a zajmują się tylko organizacyami świeckiemi.

[2]) Dla ilustracyi tego zarzutu przytaczamy tylko jeden przykład dość wymowny. Towarzystwo św. Wincentego a Paulo we Lwowie wspiera dużo stosunkowo rodzin, należących do narodowości ruskiej i ob. gr. kat., a przecież żaden z księży ruskich nie należy do niego, ani nie udziela mu żadnej pomocy; trzeba zaś dodać, że takiego towarzystwa, odwiedzającego ubogich w ich mieszkaniach, Rusini wcale nie mają, więc tem bardziej powinniby się poczuwać do obowiązku popierania naszych księży i Polaków świeckich, którzy żywią ich ubogich. Podobnie ma się rzecz z innemi naszemi instytucyami dobroczynnemi.

powinnyby i jego konfratrom przemawiać do przekonania. Musi to n. p. wywierać wpływ bardzo niekorzystny na wychowanie młodego kleru, kiedy kandydaci do stanu duchownego rozglądają się zawczasu za przyszłemi towarzyszkami życia i zawierają z pannami poufałe znajomości kiedy matki ciotki, babki kleryków używają wszelkich środków żeby ich tylko powstrzymać od poświęcenia się służbie Bożej w stanie bezżennym, — kiedy nawet kapłani wyszydzają wobec nich celibat i przedstawiają go w złem świetle (str. 70 n. 138 i t. d.).

Wzgląd na potrzeby materyalne rodzin kapłańskich nakłonił w Galicyi do przyjęcia całkiem fałszywej zasady, że „nie ksiądz dla parafii, ale parafia dla księdza" (str. 72 w przyp.). Chociażby kapłan źle spełniał swoje obowiązki, żąda się przecież od biskupa, żeby mu dał takie probostwo, którego dochody mogą wystarczyć na wyżywienie i wychowauie licznego potomstwa petenta. Takie to względy muszą nieraz decydować przy nadawaniu beneficyów — a kwestya chleba przyczyniła się także w wysokim stopniu do wywołania niechęci, jaką żywi niestety wielu księży ruskich przeciw naszemu duchowieństwu. Chociaż bowiem mają więcej probostw niż my i więcej dostają z funduszu religijnego, to przecież nie wszystkie rodziny kapłańskie mogą wyżyć przyzwoicie z dochodów parafii, gorzej wyposażonych. To jest też zapewne jednym z powodów, dla których wiele popadjanek nie chce zawierać związków małżeńskich z alumnami.

Otóż o tem wszystkiem nie chce nic wiedzieć Towarzystwo św. Pawła, — przeciwnie, ono zapewnia, że Cerkiew ruska powinna się bronić wszelkiemi siłami przeciw zaprowadzeniu obowiązkowego celibatu: „Naród nasz" czytamy dosłownie w „zajawie" — „związał się tradycyjnie z rodzinnem życiem świeckiego duszpasterskiego kleru. A ten objaw miał głęboką przyczynę. Nasze duchowieństwo przyświecało przez to narodowi zawsze surowo moralnem życiem, na które nasz lud w zachowaniu świaszczenyka był nadzwyczajnie czujny, — żona świaszczenyka była zwyczajnie Tabitą i pomocnicą w jego pracy, zwłaszcza wobec niewiast wiejskich, a cały dom wzorem dla parafii cnót rodzinnych i obywatelskich. Życie rodzinne świaszczenyka było wzorem dla życia ludu a owdowienie jego było uważane zawsze przez cały lud za wielkie nieszczęście nie tylko dla ich pasterza, ale i całej gromady. To jest głęboka tradycya i f i l o z o f i a (sic!) naszego narodu i tego dobra nie da on sobie wydrzeć żadnymi wrogimi zamachami. Do tego dodamy, że tę dodatnią stronę życia rodzinnego w naszem duchowieństwie oceniają i wysoko stawiają także bardzo poważni (?) mężowie ze społeczeństwa polskiego, którzy mieli sposobność poznać nasze stosunki. Jeżeli mimo tych cennych stron naszego rodzinnego życia dr. Smolka tak zawzięcie występuje przeciw niemu, to my rozumiemy jego zamiary. Po dawnem przeciągnięciu całej szlachty ukraińskiej i bogatszego mieszczaństwa do obozu polskiego, został się w narodzie ukraińskim jeszcze stan kapłański, który — związany z sobą znajomością i węzłami rodzinnymi w jedną k a s t ę, przedstawiał siłę poważną i zastępował swojemu narodowi warstwę wyższą i niezależną. Nadto, znajdując się w trochę lepszem położeniu od zubożałego ludu, mógł łatwiej kształcić swoje dzieci i przez to dostarczał narodowi znacznej części oświeconej inteligencyi. I oto i n d e i r a!

Z tej to przyczyny wołali oddawna różni politycy polscy, żeby wprowadzono w naszym klerze obowiązkowy celibat. Oczywiście, im chodziło o usunięcie silnej korporacyi z życia ukraińskiego narodu, o rozbicie kleru na luźne cząstki, o oderwanie go od społeczności i zrobienie go martwym jej członkiem. Słowem: był to jeden z projektów na zniszczenie Rusi! I to jest także tendencyą dra Smolki. Rozumie się, że nie jest to sprawa katolickiego Kościoła, pod którą podszywa się obłudnie p. Smolka, a tem mniej naszej św. Unii, ale wyłącznie interes egoistyczny polski, który, jak pokazała historya, nie wychodzi nawet na jej dobro, lecz zwyczajnie na pożytek..... północy".

Szczególna ta deklaracya zawiera szereg gołosłownych twierdzeń, które są w rażącej sprzeczności ze znanymi powszechnie faktami. I tak dowiadujemy się z niej ze zdumieniem, że związkom swoim małżeńskim zawdzięcza kler ruski swoją „surową moralność", — w czem zawiera się oczywiście „implicite" zapewnienie, że on stoi pod tym względem wyżej od kleru, żyjącego w celibacie! Z takiem twierdzeniem trudno polemizować, bo dla wykazania jego nieprawdziwości trzebaby wymieniać różne nazwiska i wywlekać na widok publiczny rzeczy, które powinny zostać w ukryciu; — a zresztą i wtedy autorzy deklaracyi przytoczonej nie uznaliby się za pokonanych, ale raczej odpowiedzieliby, że, jak wszędzie, tak i wśród duchowieństwa żonatego mogą się znaleźć „wyjątkowo" jednostki niemoralne. Ale tu nasuwają się same pytania: czemuż więc Kościół katolicki innym duchownym nie pozwala na związki małżeńskie, jeżeli one tak przyczyniają się do życia cnotliwego kleru, — czemu zabrania owdowiałym kapłanom ruskim żenić się powtórnie, czemu biskupom amerykańskim nie wolno przyjmować księży żonatych z Galicyi, czy dalej rzeczywiście ci członkowie ruskiego kleru, którzy żyją w celibacie, mniej są moralni i mniej robią dobrego niż żonaci? — Przeciwnie, sami XX. Biskupi ruscy stwierdzają na podstawie długoletniego doświadczenia, że praca bezżennych kapłanów jest — ogólnie mówiąc — daleko wydatniejsza. Wiedzą coś o tem i księża polscy, którzy też przemawialiby raczej p r z e c i w narzuceniu celibatu całemu duchowieństwu ruskiemu, gdyby pragnęli upadku Cerkwi ruskiej, — o co ich posądzają bezpodstawnie Rusini. Zapewniono nas także, że w czasie okupacyi rosyjskiej najlepiej stosunkowo trzymało się duchowieństwo dyecezyi s t a n i s ł a w o w s k i e j, w której pracuje najwięcej młodych księży bezżennych.

(Dok. n.). *X. P.*

Z rozmyślań dziennych.

Utartym zwyczajem, parę razy w tygodniu schodzą się wikarzy parafii X. na pogadankę wieczorną. Oczywista, że wojna i sprawy z nią związane stanowią temat aktualny. I na takiem zebraniu obiło mi się o uszy zdanie, że my księża parafialni dotychczas nie wiele powiedzieliśmy ludziom o w o j n i e. Warto doprawdy pokrótce

zastanowić się nad tem. Bo pamiętajmy dobrze, że w tych przełomowych czasach ludzie baczną zwracają uwagę na to, co robimy i jak mówimy. Kiedym wrócił do domu, słowa wypowiedziane przed chwilą spędzały mi sen z powiek. Cały rój myśli i pytań dręczących cisnął się na usta. Czy wojna jest konieczną, czy wojna obecna ma tylko ciemne strony, czy także i jasne, czy przybliża świat do Chrystusa, czy może wogóle być sprawiedliwą i czy da się pogodzić z nauką P. Jezusa? Na pytania poruszone nie daję odpowiedzi, bo należałoby nad niemi zastanowić się dłużej i poważniej.

Stwierdzam fakt, że wojna jest strasznem nieszczęściem, nie dlatego, że niesie ze sobą bólów ból, ale że zmusza do zabijania, a w każdem zabijaniu kryje się straszne przekleństwo. Ale także i nas, dzieci 20. wieku, wojna obecna dotyka szczególnie; jest ona wyrokiem potępiającym obecny stan kultury.

Nowoczesny człowiek, pogrążony w używaniu zmysłowem i oszołomiony postępem kultury, śnił, że pokój będzie trwał wiecznie, żeby on mógł sobie spokojnie zajadać kawior. Jednak Bóg pokrzyżował plany człowiecze. I pewna część ludzi, w zapamiętaniu i używaniu odurzona, powoli zaczyna się od Chrystusa odchylać i zapomina o Nim, jeśli nie w duszy, to w życiu, w praktyce. Drudzy zwracają się do Boskiego Zbawiciela z prośbą o pomoc. I ci właśnie przychodzą do kościołów, a o uszy ich obijają się słowa nauki przez nas głoszonej.

Cóż my tym ludziom mówimy o obecnej wojnie? Jak ją tłumaczymy i objaśniamy w naukach i kazaniach?

Mówimy, że wojna obecna to dopust Boży, to kara za zło, które się rozpanoszyło po świecie! Czyż to nie za mało?

Dlaczego te przeogromne skarby nauki naszego Boskiego Mistrza o miłosierdziu, o cierpieniu, o miłości pozostawiamy nietknięte? Dlaczego nieraz mówimy tak zimno, tak sucho, tak bardzo teoretycznie? Pamiętajmy, że nauk naszych słuchają ludzie, którzy znają wojnę nie z gazet, ale ją przeżywają. Przychodzą do kościoła, chociaż nogi ich słaniają się z wycieńczenia i głodu. Przychodzą, by usłyszeć słowo pokrzepiające, by zaczerpnąć otuchy do życia. I nieraz, kiedy zbolałe, spracowane ręce odmawiają już posłuszeństwa do pracy, przychodzą do kościołów, by prosić o moc i wytrwałość, by siłą ducha zmusić utrudzone ciało do pracy na przyszły tydzień. Pamiętajmy, że ich gniecie życie, troska o jutro, niepewność o członków rodziny. A my nieraz, nie licząc się z tym wewnętrznym stanem, nie patrząc w serce, głosimy tym ludziom tylko tyle, że wojna to kara Boża. Czyż ci biedacy sami tego nie czują? Czyż samo życie nie woła do nich potężniejszym głosem? A może ci, którzy nas słuchają, nie mają zbrukanego sumienia? Oni raczej pragną usłyszeć słowo pokrzepiające, wielu z nich przykłada rozpaloną skroń do ołtarzy, szukając ochłody, a tu spadają z kazalnicy — twarde, przygniatające słowa!

Czyż więc naprawdę nie mówimy ludziom za mało o wojnie? Powiada Tertulian, że gdy P. Jezus św. Piotrowi miecz wyjął z rąk, wszystkich rozbroił. Ach gdyby tak wszystkie narody nie tylko na ustach miały słowo Boże, ale i w życiu, z pewnością nie byłoby doszło do tego, na co oczy nasze patrzą. Bo przecież P. Jezus przekazał nam testament miłości — żywej, czynnej, wzajemnej. I chociaż to przecudne przykazanie miłości Boga i bliźniego jest dzisiaj jakby przysłonięte oparami krwi, chociaż twarda rzeczywistość swym głosem spiżowym z pola bitwy tłumi naukę miłości — to jednak my słudzy Chrystusa mamy obowiązek przypominać światu tę naukę ustawicznie, a zwłaszcza w czasach obecnych.

X. Struszkiewicz.

Refleksye z podróży.

(Ciąg dalszy).

Ciekawe jednak, jak wielki Montaigne nawet do tych starożytnych zabytków, które wprost wzruszające na nim robią wrażenie, nie przykłada zgoła miary estetycznej, jak my dzisiaj; nie zajmuje go n. p. piękno Panteonu — tak dobrze przecie zachowanego — o nim wogóle nie wspomina; imponują mu natomiast, jak w amfiteatrze Werony i wielu innych wypadkach, przedewszystkiem rozmiary, a także wielka liczba gmachów i zastanawia się, jak na takiej względnie małej przestrzeni mogło się to wszystko pomieścić, n. p. jak na Kapitolu, gdzie ledwie dość miejsca się wydaje na dwa gmachy, mogło kiedyś być 25 lub 30 świątyń prócz domów prywatnych. Zdaje się, mamy tu przed sobą obraz w miniaturze tego kształtowania się zmysłu estetycznego, jaki na szerszej widowni dziejowej dały nam całe narody, kiedy to pierwszą fazą piękna był ogrom lub osobliwość (Egipt, piramidy, sfinksy), a dopiero powoli indywidualny duch Hellady wydał wyższą koncepcyę piękna linii, za czem — bardzo późno zresztą — poszło pojęcie harmonii barw (w Grecyi i Rzymie dysproporcya między wartością estetyczną rzeźby a malarstwa[1]) zdumiewa poprostu). Otóż Montaigne na barwy najmniej jest wrażliwy, nawet w przyrodzie, a tem mniej, zdaje się, w sztuce; więcej już mówi mu rzeźba, a więc harmonia linii, podnoszę to, że woli rzeźbę od malarstwa;

[1]) To następstwo w rozwoju wrażliwości dotyczy jednak nie wszystkich narodów czy ras; wszakże Japończycy, niezmiernie prymitywni w architekturze i rzeźbie, okazują w swojem malarstwie zdumiewającą subtelność w odczuwaniu barw; podobno nasi malarze mogą się tam wiele nauczyć. Zresztą i w Niderlandach widać przewagę i to znaczną wrażliwości na barwy nad wrażliwością na linie; o ileż bowiem więcej rozwinęło się tam malarstwo! Nie małą tu rolę odegrał fakt natury technicznej, że mianowicie w tym kraju właśnie — nie tylko artystycznego, ale i technicznego postępu! — dokonano wynalazku olejnej farby, który tak ogromnie przyczynił się do udoskonalenia kolorytu w malarstwie. We Włoszech Cinquecenta jeszcze brak tego technicznego ułatwienia był wielką przeszkodą w tym względzie. W rozwoju wrażliwości na barwy a więc i kolorystyki w malarstwie wielką rolę też odgrywa wilgoć w powietrzu. W powietrzu przesyconem wilgocią znacznie wyraźniejsze są różnice barw aniżeli w powietrzu suchem. Stąd to pod względem kolorystyki nad Włochami środkowemi góruje Wenecya (Tycyan!) i Niderlandy, a także wilgotnem, morskiem powietrzem przesycona Japonia. Oczywiście pierwszym warunkiem jest w ogóle poczucie artystyczne w psychice narodu; gdzie tego niema, tam nie pomoże klimat. Zresztą i ta teorya budzi trochę sceptycyzmu ze względu na Ateny położone nad morzem i wśród jednego z najpiękniejszych krajobrazów, a gdzie mimo nadzwyczajnego artyzmu w duszy narodu wrażliwość na barwy była mała.

ale stanowczo najbardziej go uderza i imponuje mu ogrom lub osobliwość. Ale to wszystko ożywia intelekt; Montaigne'a rzecz sama by nie uderzyła, gdyby intelekt nie przyszedł do świadomości, że ten gmach, ta ruina pochodzi ze starożytności klasycznej, albo że posiada inny jaki tytuł do znaczenia; stąd chętnie odcyfrowuje napis lub datę wyrytą w kamieniu. Słowem, u tego humanisty północy nie znać bardzo zdolności do zachwycania się pięknem samem w sobie, on musi mieć treść także, nie tylko formę — i ta treść, ten pokarm intelektu jest dla niego zawsze ważniejszy; jest on niezdolny do włoskiej „indifferenza del contenuto". A będzie to stanowiło istotną wyższość narodów północy i odda im berło myśli i wogóle kultury ludzkości; albowiem rozwijają one pierw kulturę myśli, a uzbrojeni w nią, nie pozwolą już kulturze estetycznej zapanować tak wyłącznie nad ich psychiką, jak się to stało we Włoszech. Będą one w sztuce widzieć ważny współczynnik kulturalny, obok innych, ważniejszych, zwłaszcza kultury moralnej i intelektualnej i tem będą dojrzalsze, poważniejsze, a więc kulturalniejsze. Zapewne, że zawdzięczają tę powagę między innemi przyczynami klimatowi o tyle mniej wesołemu, o tyle poważniejszemu od włoskiego. A nim francuski myśliciel Taine rozwinął to w świetnej tezie filozoficznej, powiedział już starożytny Hippokrates, że „zewnętrzny wygląd i rodzaj usposobienia ludzi w największej części wypadków odpowiadają naturze kraju".

A skoro już o sztuce mowa, czy nie ciekawym komentarzem do teoryi Taine'a czy Hippokratesa jest różnica między sztuką włoską a niderlandzką? Od ciemniejszego kolorytu tej ostatniej do poważniejszych, smutniejszych tematów wszystko tam inne. Pod pogodnem niebem włoskiem malarze najchętniej malują Wniebowstąpienie, Zmartwychwstanie, Ucztę w Kanie galilejskiej i t. p., a pod pochmurnem niebem północy jakże przeważają tematy smutne, jak! Ukrzyżowanie, Złożenie do grobu — a jaki temat, takie wykonanie; wyraz bólu na północy jakże inny niż na południu! Wprawdzie wpływ włoski a także wpływ wielkiego dobrobytu, rozkwitu miast rozjaśni z biegiem czasu tę atmosferę powagi czy prawie smutku, ale i wtedy jeszcze obraz religijny takiego Rembrandta będzie tchnął czemś tajemniczem czy mistycznem, czego na analogicznem płótnie Rafaela trudno się dopatrzeć. Z drugiej strony jaka charakterystyczna różnica między realizmem życiowym scen pogodnych, wesołych na południu a na północy! Pamiętam, udało mi się na wystawie w Antwerpii oglądać całą twórczość Jordaensa (przyjaciela Rubensa), którego obrazy pościągano z wszystkich muzeów Europy z racyi jubileuszu. Taka zbiorowa wystawa ma swoją stronę dodatnią, bo daje poznać całokształt twórczości malarza, ale i ujemną także, bo odsłania wyraźniej, — zwłaszcza u artysty nie pierwszej miary — niejednostajność w pomysłach, powtarzanie się, które znacznie mniej uderza, gdy się po różnych galeryach widzi po kilka jego obrazów.

Otóż zastanowiła mię w tej twórczości kolosalna wprost przewaga motywów, które bym nazwał gastronomicznymi lub kulinarnymi: osoby w tych obrazach najczęściej jedzą i piją; ale podczas gdy na południu u Murilla, a tem bardziej u Włochów jest pewna finezya, delikatność, czy zgoła idealizm w przedstawieniu tego tak realistycznego motywu: tylko oczy chłopców murillowskich śmieją się do tych winogron, — tu przeciwnie pokarm przemawia wprost do ust, często już jest w ustach, zapakowuje je, rozdziera nieraz i zniekształca, tak, iż ma się wrażenie, że jeźli tamci na południu lubią dobrze zjeść, bo ich to bawi; to ci tutaj chcą przedewszystkiem zjeść dużo, ile tylko się zmieści, bo mają wilczy apetyt, są żarłokami. Oczywiście i to wpływ klimatu: na zimnej, dżdżystej północy więcej się je, organizm tego więcej potrzebuje niż na słonecznem, ciepłem południu[1]). A wiadomo, że nie tylko mniejsi artyści tematy takie uprawiają, znajdujemy je — rzecz jasna — w mniejszej liczbie, u wielkich także, a i u nich daleko idący realizm stanowi tu ciekawy kontrast do południa.

Ale też tembardziej uderza to olbrzymie bogactwo sztuki w tem na pozór prozaicznym kraju, bogactwo, z którym mierzyć się mogą jedne Włochy tylko. W innych krajach sztuka jest niejako od święta: w tym lub owym kościele, w muzeum; w jednym i drugim zwykle lwia część dzieł pochodzi od mistrzów obcych; tu sztuka jest codziennym pokarmem oczu: nie ma kościółka małego, w którym by nie było czego do podziwiania: na każdej ulicy i uliczce zatrzymuje podróżnego to stylowa fasada domu cechowego, to studnia artystycznie w kamieniu wyrzeźbiona, a muzea po brzegi wypełnione niemal samemi dziełami własnych mistrzów; owszem, przewodnik nas poucza że znaczna większość i to najznakomitszych arcydzieł tej sztuki wypełnia całe sale muzeów Paryża, Londynu, Wiednia, Madrytu.

I znowu ciekawy problem psychologiczny: skąd się wziął tam właśnie taki fenomenalny rozkwit sztuki?

O klimacie trudno mówić, bo przecie to klimat niemal ten sam, co w tuż sąsiadujących Niemczech lub Francyi; psychologia narodu też zdaje się nie wiele tłumaczyć: dzisiejsi Flamandowie i Holendrzy robią wrażenie ludzi poważnych, solidnych, jakimi się okazali w dziejach, ale w tych postaciach dość ciężkich, często otyłych, w tych rysach surowych, najczęściej grubych, jakoś trudno się dopytać pokrewieństwa z Van Dyckem, Rembrandtem — przeciwnie niż we Włoszech, gdzie i ten obdarty lazzaroni, wyciągający rękę po „un soldo", ma w sobie coś z artysty. Być może, iż jak jednostki tak i narody dzielą się na takie, u których wnętrze przejawia się wyraźnie na zewnątrz, u których oblicze jest istotnie obrazem duszy — i na takie, u których to wnętrze jest zakryte przed

[1]) Rzecz jasna, Włosi Odrodzenia też lubili jeść dużo, a przedewszystkiem dobrze; ale była to faza przejściowa, podczas gdy na północy ta strona obyczajowa weszła w naturę, utwierdzona atawizmem. U Włochów zresztą było tu i wiele artyzmu swego rodzaju; do wrażeń estetycznych, jakie dawała im sztuka, dodano nowe, przemawiające do podniebienia. Illustruje rzecz dobrze anegdotka z życia Aryosta: Pewnego razu podchodzi do autora „Orlanda Szalonego" ktoś z towarzystwa i mówi: Mistrzu, przecie się znamy. — Nie przypominam sobie, — odpowiada poeta. — Alez siedzieliśmy przy sobie na uczcie u kardynała Chigi! — Doprawdy, nie pamiętam pana, protestuje dalej Aryost. — Alez Mistrzu — mówi nieznajomy — podawano wtedy smaczny pasztet, który ci ogromnie smakował i którym się zachwycałeś. — Ach! ten pasztet pamiętam! — woła rozpromieniony poeta — był istotnie przewyborny; tak jest, pasztet pamiętam, ale pana — nie.

okiem widza, choć może być równie głębokie i bogate. Germańskie narody należą do tego drugiego typu: w przeciętnym Niemcu dość trudno się dopatrzeć rodaka Goethego; natomiast na pierwszy rzut oka widzi się, że każdy niemal Francuz ma w sobie coś z Moliera.

Nie będę nadużywał cierpliwości czytelnika opisem miast włoskich, który, choćby był najbarwniejszy, nie zastąpi widoku rzeczy samej; trudno mi jednak nie podzielić się wrażeniem, jakie mi daje Rzym za każdym razem, kiedy go oglądam i które to wrażenie nie tylko nie maleje za powtarzaniem, ale owszem się potęguje. Podobnie jak ponowna lektura wielkiego arcydzieła w literaturze odsłania w niem coraz nowe skarby myśli i piękna, tak każde ponowne zwiedzanie Rzymu potęguje podziw. Dla tego Miasta, Urbs, jedynego na świecie, największego ze wszystkich — nie liczbą mieszkańców, bo Londyn, Paryż i tyle innych miast dzisiejszych je przerastają — ale wielkością, bijącą z majestatu jego dziejów, jego posłannictwa dziejowego, jego ojcowstwa kultury. A więc najpierw ta Republika, w której cnota obywatelska, owa virtus romana była przez całe wieki wzorem dla narodów kulturalnej Europy, które powtarzały całem sercem za tamtymi: „dulce decorumque est pro patria mori!“ A potem Cesarstwo; mówiono o niem dużo złego i słusznie; ale obok zbrodni ma ta Roma Cezarów i swoje zasługi wobec ludzkości; w ślad za zdobyczami Imperium szła cywilizacya — prawda, że z coraz większą przymieszką zepsucia, ale wystarczy porównać poziom obyczajowy i w ogóle kulturalny Hiszpanii, Gallii, Germanii przed podbojem rzymskim z poziomem tychże narodów po nim, aby widzieć, ile mimo wszystko ta romanizacya przyniosła dobrego. Jeźli chodzi o konkretny przykład, to czyż Francya byłaby tą przodowniczką Europy w kulturze przez tyle wieków, gdyby Cezar nie był podbił Gallii i gdyby ta tak prędko i ochotnie nie poddała się dobroczynnemu wpływowi rzymskiej cywilizacyi? I przeciwnie: czy klęska Rzymian w teutoburskim lesie nie opóźniła pochodu Niemiec na drodze cywilizacyi o kilka wieków?[1]).

(C. d. n.). *M. Paciorkiewicz.*

---

[1]) Nie wniknął w tę prawdę Krasiński, który dla pełności analogii między Rzymem a Rosyą, scharakteryzował Rzym (w swych uwagach do Irydyona) bardzo stronniczo: „Nigdy nic idealnie wyniosłego nie było w dziejach Rzymu... nigdy myśl cywilizacyi nie postała w ich sercu... W świecie ducha słabymi pozostali Rzymianie: nic nigdy nie wynaleźli, nie odkryli. Literatury, sztuk nie mieli... ich panowanie światu stało się zepsuciem i śmiercią świata... Zginęli przez to, że nigdy prawdziwego życia politycznego ni towarzyskiego nie pojęli, że podbijali — nie urządzali“. W każdem z tych zdań jest sporo fałszu, o ile całe nie jest fałszem. Uderza zaś i dziwi niezrozumienie rzeczy szczególnie u poety, który miał tyle nie tylko wiadomości, ale i odczucia historyi i ducha dziejów; prawda, że był Polakiem, a więc mistykiem z natury. Nie odróżnił on intencyi czynu od skutku czynu. Że Rzymianie nie o cywilizacyi myśleli, to być może, ale to nie wyklucza faktu, że gdzie ich panowanie doszło, tam istotnie doszła wraz z tem panowaniem cywilizacya. A więc gwałty, fałsz i ta cała niemoralność polityczna, którą poeta tak słusznie piętnuje, były prawdziwie „cząstką onej siły, która wciąż zło zamierza, a dobro czyni“ — ein Teil von jener Kraft, die stets das Böse will und stets das Gute schafft (Goethe, Faust).

KRONIKA KOŚCIELNA.

Zniszczone kościoły i cerkwie. (C. d. por. nr. 16 z r. b.).

W powiecie *pilzneńskim* dość znacznych uszkodzeń doznał kościół w Brzostku, murowany, wzniesiony w r. 1816. W bitwie 7. maja 1915, w czasie której kościół przeniesiono w forteczkę zaciekle bronioną od 3 rano do 9 wieczór, postradał kościół wszystkie okna, uszkodzono też dach blaszany. W czasie tej bitwy spłonęły w miasteczku 23 domy, częściowego uszkodzenia doznała też plebania, zginęło 20 mieszkańców miasteczka, a koło samego kościoła naliczono wieczorem 500 trupów Rosyan. W czasie tej samej bitwy majowej doznały też uszkodzenia dach i okna nowego kościoła w Przeczycy, wystawionego w r. 1907 w stylu neo-gotyckim.

W powiecie *jasielskim* całkowicie uległ zniszczeniu jedynie kościół w miasteczku Ołpinach. Murowany, wzniesiony niewiadomo kiedy, został w czasie bitwy 4. maja 1915 spalony i rozbity tak, że pozostały tylko szczątki murów, od strzałów i ognia popękanych. Spłonęło całe urządzenie wraz z niedawno odnowianymi ołtarzami. Na miejscu kościoła wzniesiono niewielką prowizoryczną kapliczkę. — Częściowo został uszkodzony w czasie bitwy 5. maja 1915 kościół w Osobnicy, nowy, murowany, projektowany przez Talowskiego z r. 1905, również nowy, murowany (1904) kościół w Cieklinie i w Szebniach (1855), oraz w Kołaczycach (1903). Ten ostatni stracił witraże, dziś już naprawione, w czasie bitwy 7. maja 1915.

W powiecie *brzozowskim* nie zniszczono kościoła żadnego. Dość znaczne szkody poniósł kościół drewniany w Haczowie, postawiony po r. 1624, gdy poprzedni spalili Tatarzy, a zaliczany do najpiękniejszych drewnianych kościołów w Galicyi.

W powiecie *kolbuszowskim* rozbity jest w połowie przez granaty w czasie bitwy 18. września 1914 kościół w Majdanie, murowany, zbudowany w r. 1791. W szczególności zniszczone są: wieża, ściana wschodnia, wielki ołtarz i t. d. Znacznie mniejszych uszkodzeń doznał kościół w Sokołowie, wystawiony przed kilku laty w stylu gotyku nadwiślańskiego.

W powiecie *liskim*, posiadającym w Galicyi największą — bo aż 140 — liczbę cerkiewek, spaliło się ich mimo rozgrywających się tu ustawicznie w r. 1914 i 1915 walk, stosunkowo niewiele. Z 19 kościołów i kaplic rzym.-kat. częściowego uszkodzenia granatami doznał murowany kościół w Baligrodzie z r. 1879, w budowie będący kościół w Lutowiskach, kościół w Wołkowyi, murowany, z końca XVIII. w., uszkodzony w czasie inwazyi rosyjskiej, kościoły w Łobozwi i Uhercach (1749) i kaplica w Ciśnie.

W powiecie *samborskim* spalona jest tylko cerkiew w Towarni, a znacznego uszkodzenia doznała kaplica łac. w Sanoczanach, zbudowana przed samą wojną, w r. 1914 zniszczona przez Rosyan, w r. 1916 odrestaurowana kosztem X. Biskupa Pelczara. Kościół Karmelitów w Sąsiadowicach, fundowany z końcem XVI. w. przez Herburtów, stoi nienaruszony. Natomiast Rosyanie zniszczyli budynki klasztorne.

W powiecie *sanockim* spalona jest całkowicie jedydynie drewniana cerkiew w Woli Piotrowej koło Bukowska. Z kościołów bardzo znacznych uszkodzeń doznał skromny, murowany kościół w Zarszynie, zbudowany w r. 1882, który w czasie bitwy 10. maja 1915 utracił prawie cały dach, a ściany i sklepienia podziurawione są od kul. Dach w czasie bitwy stracił też kościół w Bukowsku (murowany z r. 1886); mniej znacznych uszkodzeń doznały kościoły parafialne w Rymanowie (okazały budynek w klasycznym stylu, wystawiony z końcem XVIII. w. kosztem Ossolińskich), Jaćmierzu (z r. 1760) i Besku (dre-

wniany, zbudowany w r. 1775 kosztem marszałka koronnego Jerzego Wandalina Mniszcha).

Powiat *strzyżowski* ucierpiał niewiele. Nieznacznych uszkodzeń doznały jedynie kościoły: we Frysztaku (drewniany, rok budowy nieznany) i w Lutczy (drewniany, zbudowany w r. 1748, odnowiony 1889).

Stosunkowo wielkie, a ze względu na historyczną i artystyczną wartość poniszczonych zabytków dotkliwe szkody wykazuje powiat *starosamborski*, który tak w październiku 1914, jak i w maju 1915 był widownią zawziętych bitw, w czasie których częściowemu zniszczeniu uległy miasteczka: Stary Sambor, Stara Sól i Felsztyn, oraz szereg wiosek, a wśród nich Laszki Murowane.

Szczególniej dotkliwe są szkody, jakie poniósł kościół w *Felsztynie*, jeden z nielicznych dobrze zachowanych starych gotyków Galicyi wschodniej. Jest to budowa z czerwonej cegły z schodkowym przyczółkiem fasady, wzniesiona kosztem Herburtów, ówczesnych panów Dobromila, w pierwszej połowie w. XVI. w r. 1904 odnowiono go stylowo staraniem obecnego proboszcza, X. Józefa Watulewicza, autora monografii Felsztyna. Przed wojną posiadał on na sklepieniu w prezbiteryum polichromię z połowy XVI. w., wykazującą przejście od gotyku do renesansu, — zworniki żeber obok orła polskiego zdobiły herby Herburtów: Korczak, Nałęcz i Ogończyk. W czasie długich walk w październiku 1914, które toczyły się tak tu, jak i na niedalekiej Magierze, biegły okopy rosyjskie tuż pod kościołem, w który padło kilka granatów. Eksplodowały one w kościele, robiąc ogromne spustoszenie, szczególnie w prezbiteryum. Sklepienie wraz z polichromią runęło, niszcząc całkowicie późnobarokowy wielki ołtarz, stalle i kazalnicę. Z dwóch bocznych ołtarzów z r. 1807 jeden zniszczony całkiem, drugi w części. Zachowały się natomiast w kaplicach bocznych dwa ołtarze z końca XVI. w. w stylu późnego niemieckiego renesansu. Całkowicie zostały też zniszczone trzy portrety Herburtów z XVI. w., które wisiały w prezbiteryum.

Do najważniejszych zabytków kościoła należą grobowce Herburtów. Jest tu gotycka płyta nagrobkowa chorążyny Herburtowej z r. 1495, alabastrowy renesansowy pomnik Walentego Herburta († 1511) biskupa przemyskiego, delegata Polski na sobór trydencki, pomnik historyka i jurysty Jana Herburta z żoną, oraz najcenniejszy pod względem artystycznym pomnik jego syna Krzysztofa († 1558). Z nich całkowicie został zniszczony pomnik biskupa, z którego pozostała sama tylko postać. Kościół, który wyglądał jak ruina, został już pokryty dachem, a roboty restauracyjne prowadzą się pod kierunkiem grona konserwatorów.

Obok kościoła stała bardzo charakterystyczna czworograniasta baszta obronna Herburtów gotycka z XVI. w., zamieniona na dzwonicę kościelną. Rosyanie rozsadzili ją dynamitem, została tylko część dolna.

Znaczne szkody poniósł też stary kościół w Starej Soli, barok zbudowany w r. 1660, a szczególnie jego kaplica. Z nowych kościołów pewne uszkodzenia wykazuje kościół w Starym Samborze, zbudowany w r. 1890 w stylu neoromańskim, przed kilku laty ozdobiony polichromią Winterowskiego. W ścianach jego tkwi sporo kul karabinowych; — jeden granat, zrobiwszy dziurę w sklepieniu, wpadł do środka kościoła, gdzie jednak na szczęście nie eksplodował.

Kościół w Błozwi, murowany z r. 1840, ma sklepienie w połowie zniszczone, dach blaszany mocno podziurawiony, w ścianach kilka wyłomów od granatów.

Liczne szkody wykazują Laszki Murowane obok Felsztyna, które również w październiku 1914 leżały na samym froncie bojowym. W nowym (1908) murowanym kościele rozbity jest dach, sklepienie i absyda, a ołtarz wielki zniszczony. Liczne uszkodzenia wykazuje też cerkiew, przerobiona z dawnej kaplicy zamkowej, w której zachowały się cenne pamiątki po Mniszchach i Tarłach.

Zbudował ją w r. 1758 marszałek Jerzy Wandalin Mniszech — po rozbiorach w r. 1788 podarował ją rząd Rusinom.

Zresztą szkód nie ma. Nienaruszone stoją śliczne drewniane cerkiewki w Woli Koblańskiej i Busowiskach (wsławiona w noweli Łozińskiego „Madonna Busowiska“), nienaruszony jest też sławny klasztor Bazylianów w Ławrowie, wraz z cerkwią, która zachowała jeszcze wiele szczegółów romańskich pierwotnej budowy z XII. czy XIII. w.

W powiecie *cieszanowskim* całkowicie spalone są tylko drewniana cerkiew i nowy kościół w Zapałowie. Znacznych uszkodzeń doznał też zbudowany w r. 1808 kościół w Narolu. *Zet.*

Z Niemiec. — Nowy nuncyusz w Monachium. Niespodziewanie szybko nastąpiła nominacya nowego nuncyusza dla Niemiec, — w kilka dni po zgonie jego poprzednika X. Aversy. Świadczy to wymownie o wielkiem znaczeniu, jakie Ojciec św. przywiązuje do tego stanowiska, na które obecnie wybrany został jeden z najzdolniejszyeh dyplomatów Kuryi, msgr. Eugenio Pacelli, zastępca sekretarza Kongregacyi dla nadzwyczajnych spraw kościelnych, profesor dyplomacyi kościelnej w papieskiej akademii szlacheckiej i t. d. Cała prasa włoska wyraża się o nim jak najpochlebniej.

Zniesienie ostatniej ustawy antikatolickiej. Ze wszystkich ustaw, które Bismarck, Falk i towarzysze ukuli w czasach „kulturkampfu“ przeciw Kościołowi, utrzymała się dotąd jeszcze tylko — w formie cokolwiek złagodzonej — ustawa przeciw Towarzystwu Jezusowemu i „zakonom pokrewnym“ (na mocy tej ustawy wypędzono także Lazarystów. Siostry Serca Jezusowego i Zgromadzenie OO. Filipinów, — chociaż nie są to wcale „zakony pokrewne“ Jezuitom). Nie wolno mu było nigdzie w całych Niemczech osiedlać się i działać, — ale później pozwolono pojedynczym jego członkom przyjeżdżać do Niemiec, zajmować się tam badaniami naukowemi, pisać książki i głosić odczyty, nie wchodzące w zakres religii. Tak tłumaczono w ostatnich latach ustawę urzędownie, trzymając się orzeczenia „Rady związkowej“, ale faktycznie pozwalały cichaczem władze miejscowe, nawet pruskie, członkom zakonu także na głoszenie kazań i odprawianie misyi. Tak też polecił w r. 1912 prezydent ministrów bawarskich urzędnikom interpretować ustawę w okólniku, który wywołał ogromną burzę w obozie protestanckim i wolnomyślnym; wtedy posypały się petycye do Rady zw., żeby nie pozwoliła bezwzględnie Jezuitom na żadną działalność w Niemczech; katolicy zaś zażądali ponownie zniesienia ustawy, przeciw Zakonowi temu wymierzonej. Na to powzięła Rada zw. uchwałę, która wypadła jak najniekorzystniej dla sprawy Jezuitów, bo pozwalała im tylko na odprawianie prymicyi w kółku rodzinnem i cichych mszy św. a nadto na udzielanie ostatnich Sakramentów, zakazała im zaś wszelkich „czynności religijnych wobec innych“, t. zn. nie tylko pracy duszpasterskiej, ale wogóle pracy kapłańskiej, podjętej dla pouczenia bliźniego w zakresie religii i dla dobra jego duszy.

Decyzya ta musiała wywołać stanowczy protest ze strony katolików. Najpierw zarzucono jej słusznie rażącą nielogiczność i wykazano, że gdyby władze chciały się trzymać jej ściśle, doprowadziłoby to do konsekwencyi wprost niedorzecznych: Jezuita nie mógłby w Niemczech bezkarnie ani dziecka ochrzcić, ani udzielić Komunii św., ani rady religijnej, nawet w domu prywatnym. Gdyby w odczycie treści historycznej lub ekonomicznej (— na takie odczyty pozwalała Rada związkowa —) wspomniał tylko o prawie Bożem, o zadaniu Kościoła i t. p., mógłby komisarz policyi nakazać mu milczenie, oświadczając, że prelegent wszedł już w dziedzinę religii!

Gdy sprawę poruszono w parlamencie, nie mógł kanclerz Bethmann-Hollweg uzasadnić inaczej decyzyi Rady związkowej, jak tylko powołując się na „uczucia ewangelickiego ludu“. To uczucie i dzisiaj burzy się przeciw Jezuitom, których nie przestano oczerniać w sposób prawdziwie potworny. — a jednak teraz przychyliła się Rada zw. pod wpływem doświadczeń wojennych do słusznych żądań katolików i zniosła całkiem ustawę antijezuicką. Zniosła i §. 12 **ustawy językowej**, który nie pozwalał Polakom, Francuzom i Duńczykom przemawiać w mowie ojczystej na zgromadzeniach publicznych (z wyjątkiem pewnych wypadków). Widocznie więc i w Niemczech zaczął się „**kurs nowy**“, — z czego możemy się tylko cieszyć. *P.*

Kurya rzymska wobec rewolucyi rosyjskiej. Dzienniki włoskie zajmowiły się w ostatnich dniach żywo stosunkiem Watykanu do rewolucyi rosyjskiej i nowopowstałego rządu. Nie ulega chyba wątpliwości, że Ojciec św. powita z zadowoleniem nową epokę w historyi Rosyi, jeżeli tylko nowy rząd zapewni obiecaną wolność sumienia i wyznania dla wszystkich jej ludów, ale od słów do czynu jeszcze daleko.

Wiadomo, że stosunki pomiędzy rządem carów a Kuryą rzymską były zawsze bardzo trudne i naprężone. Stolica św. nigdy nie miała zaufania do rządu rosyjskiego, nigdy nie dowierzała obietnicom carów. Stosunki zaostrzyły się jeszcze, kiedy Rosyanie zagarnęli Galicyę aż po Kraków. Przedtem jeszcze wiele przyczynił się do pogorszenia tych stosunków poseł rosyjski przy Watykanie, Nelidow.

Kiedy raz w Watykanie zebrani dyplomaci Piusowi X. składali życzenia i kiedy wystąpił z niemi także Nelidow, Ojciec św. wyrzekł do niego następujące słowa: „Nie mogę przyjąć życzeń od przedstawiciela tej władzy, która pomimo cierpliwości Stolicy św. nigdy nie chce spełnić przyjętych na się zobowiązań. Rosya nigdy nie dotrzymała obietnic uczynionych Nam i swoim katolikom“.

Na te słowa pobladł poseł Nelidow i dopuścił się wielkiego nietaktu, odpowiadając: „Wasza Świątobliwość, to nie jest prawdą“!

Na co Pius X. odrzekł: „Czy chcesz pan twierdzić, że ja nieprawdę wyrzekłem?! Proszę pana, proszę się usunąć“!

Tak został Nelidow z Watykanu wydalony. Wtedy rząd rosyjski wyznaczył innego posła przy Watykanie, ale ten dotąd do Rzymu nie przybył.

Nikt nie zna lepiej od nas Polaków wiekowej walki, którą Rosya toczyła z Rzymem. Rosyanie mówią często o „świętej Rosyi“, czy to w cerkwiach, czy na zgromadzeniach. „Świętą jest Rosya“ powiada „mużyk“, bo święty, prawowierny, czczący i kochający Boga lud zamieszkuje ten kraj. A lud ten ma misyę innym ludom ziemi prawdziwą wiarę, prawdziwe chrześcijaństwo głosić, bo Rosya, jak powiada Dostojewski, jest — „krzewicielką idei chrześcijańskiej“! Panslawiści zawsze narzekają na „zgniliznę Zachodu“ i głoszą światu, że Rosya jest powołaną do tego, by leczyć i uzdrowić ten Zachód.

W państwach bałkańskich często powstawała myśl połączenia Cerkwi z Kościołem rzymsko-katolickim, ale w takich chwilach Rosya zaraz zabierała głos i wpływem swoim udaremniała najszlachetniejsze usiłowania.

Zaraz po objęciu władzy przez obecny rząd prowizoryczny przypomniał mu Ojciec św. gwałt popełniony przez carat na X. Metropolicie Szeptyckim i uzyskał jego uwolnienie, o które dawniej daremne czynił starania. Także inni księża, uprowadzeni przez wojska rosyjskie (między nimi czcigodny X. superyor Sopuch T. J.), mają otrzymać pozwolenie powrotu. Wobec tego stosunki między rządem prowizorycznym a Kuryą mogą ułożyć się pomyślnie, ale kto wie, czy ten rząd potrafi się długo utrzymać? *X. W. P.*

Nowy przekład Ewangelii.

X. Władysław Szczepański T. J. **Cztery ewangelie.** Wstęp. Nowy przekład i komentarz. Część II (Przekład i Komentarz) Kraków. Warszawa. Gebethner. 1917. Str. XXXII.+611. duże 8°. Cena 15 kor. (razem z Cz. I.: 20 kor.).

Przed niespełna rokiem ukazał się Wstęp do nowego polskiego przekładu Ewangelii; obecnie ukazuje się sam przekład z komentarzem.

Duży tom, nadzwyczaj starannie wydany.

Przekład dedykowany „Ojczyźnie na ręce jej Prymasa“.

Jest to wydanie naukowe, dlatego uwzględniono w druku i w tekście wyniki krytyki tekstu, zaznaczono osobnymi znakami, czy dane słowo, względnie passus jakiś, znajduje się tylko w tekście greckim, lub tylko w Wulgacie, czy też tylko w pewnych kadeksach lub wydaniach tekstu greckiego lub Wulgaty.

Podano też na brzegach tekstu miejsca paralelne i to odmiennym drukiem miejsca rzeczywiście paralelne, a odmiennym miejsca, gdzie paralelizm jest tylko przypuszczalnym.

Rozdziały i wiersze są znaczone cyframi na górze każdej stronicy, a osobno znów znaczone są wiersze w samym tekście i znów na brzegach tekstu, gdzie znajdziemy na początku każdego rozdziału także jego cyfrę.

Tekst podzielony jest nadto na mniejsze lub większe ustępy, oddzielne pod względem treści, a zaopatrzone w osobne nagłówki.

Wszystkie te dodatki i uwagi, podziały i cyfry wymagały dużo pracy i druk komplikowały, mogą też stanowić dla przeciętnego laika w czytaniu, jak to przypadkowo miałem sposobność zauważyć, pewną przeszkodę, zwłaszcza że w samym tekście są jeszcze podane odsyłacze do komentarza, ale też ułatwiają ogromnie oryentacyę czytelnikowi krytycznemu, jeśli zechce rozpatrzeć dokładniej dany wiersz czy ustęp.

Jest zresztą w przygotowaniu wydanie nowego przekładu bez aparatu naukowego, będą więc mogły korzystać z niego szersze warstwy, tem bardziej, że wydanie to będzie niezawodnie także z wielu innych względów dla nich dostępniejsze.

Osobno jeszcze — o ile mi wiadomo — przygotowują się w nowym przekładzie także perykopy niedzielne i świętalne. Wszystko więc już zrobiono, aby nowemu przekładowi zapewnić jak najszersze rozpowszechnienie i zastosowanie.

Przekład sam powitano już z radością i uznaniem dla tłumacza tak ze strony naszych XX. Biskupów, czego wyrazem są listy ich do autora podane na początku części z przekładem, jak też ze strony naszych świeckich uczonych filologów, jak prof. Morawskiego i prof. Sinki.

Zanim słów kilka powiem o samym przekładzie, przypatrzmy się naprzód myślom przewodnim, jakich zamierzył trzymać się autor, gdy rozpoczynał wielkie dzieło nowego przekładu Ewangelii. Podam je tylko w streszczeniu, nie w całości.

Autor chciał dać przekład nowy t. j. różny od przekładu Wujkowego i dlatego „w mierze tylko bardzo ograniczonej“ zatrzymał bez zmiany niektóre wiersze w tekście Wujkowym. zdania mianowicie takie, które „weszły już jakby w przysłowia narodu“.

Przekład miał być wierny, t. j. odzwierciedlić nietylko każde zdanie, ale i każde słowo tekstu natchnionego. Autor chciał jednak oddać każdy tekst grecki takiem wyrażeniem polskiem, któreby już wprost, samo przez się, uwypuklało ile możności także i myśl dzisiejszej egzegezy. Równocześnie zaznacza Autor, że wierny przekład może i powinien wykluczać wszelką niewolniczość.

Nowy przekład miał być krytycznym, t. j. odpowiadającym ile możności poziomowi dzisiejszej krytyki tekstualnej Ewangelii. Tłumacz z różnych powodów uwzględnia zarówno tekst grecki jak Wulgatę, w wielu jednak miejscach dawał pierwszeństwo krytycznie ustalonemu tekstowi greckiemu. Co do tekstu greckiego, oparł się na wydaniu von Sodena; co do Wulgaty na medyolańskiem wydaniu A. Gramatica.

Co do komentarza, Autor powiada tak: „Pragnąłem w nim krótko i zwięźle podać tylko to, co jest prawdziwie pożyteczne lub konieczne do należytego zrozumienia tekstu, z pominięciem uwag

ascetycznych i apologetycznych, a podać je w formie jak najprzystępniejszej" (str. XXIX.).

Myśli wytyczne Autora, jak je nam podał, godzą się z regułami, przyjętemi w egzegezie katolickiej i dlatego same przez się nie nasuwają nam żadnych uwag. Jeśli jednak idzie o przeprowadzenie ich praktyczne w przekładzie, to Autor sam przewidywał, że w kwestyi „nowości" rozbieżność krytyki będzie może największa.

W ogólności jednak niech mi będzie wolno zaznaczyć, że przekład jest bardzo wierny i bardzo staranny, że język polski, w jakim go oddano, jest prosty, poważny, rzeczywiście „nie goniący za barwnością zwrotów, ni za rozmaitością wyrażeń, albo błyskotliwością okresów". Gdzie tekst grecki i łaciński jest jasny i prosty i gdzie myśl wypowiedziana jest w nich jasno i prosto, tam i przekład jest bardzo jasny i prosty, wypadł bardzo pięknie, a przytem brzmi odmiennie od mowy codziennej. Gdzie tekst grecki i Wulgaty jest mniej jasny, a myśl nieco ciemniejsza, tam i przekład przedstawia się mniej gładko.

Wszędzie jednak jest język przekładu czysty i bardzo poprawny.

Przechodzę do szczegółów, ale zaznaczam z góry, że i tutaj nie wdaję się ani w drobiazgową krytykę tekstualną, ani w najdrobniejsze nawet szczegóły samego przekładu. Nie wdaję się w krytykę tekstualną, bo oprócz wydania Nestlego nie mam żadnych innych wydań krytycznych pod ręką, a zresztą, nie będąc filologiem, nie byłbym kompetentnym do wydawania sądów, czy dany zwrot w ten, czy w inny sposób należało było oddać. Poprzestanę zatem i w tych szczegółowych uwagach na rzeczach tylko ważniejszych. Zresztą z rozmysłu dotknę tylko niektórych punktów, które z różnych względów przez recenzenta nie mogą być pominięte.

Między nowościami przekładu spotykamy oddawanie ustępów poetyckich w Ewangeliach wierszami miarowymi, mamy tu więc w zupełnie nowej szacie kantyki *Magnificat*, *Benedictus*, *Nunc dimittis*, cytaty z proroctw Izajasza i t. d.

Zasadniczo nie można nic mieć przeciw temu i być może, że niektóre strony oryginału występują w ten sposób lepiej. Zdaje mi się jednak, że niektóre części tych kantyków, a zwłaszcza pierwsza część *Magnificat*, występują w nowym przekładzie mniej prosto i uroczyście, niż u Wujka.

W stychach także miarowych jest cały Prolog Ewangelii Jana. Przekład Prologu jest wspaniały, a różni się od przekładu Wujkowego bardzo nietylko formą stychową, ale także rzeczą, wprowadzając w miejsce słów „światłość" „żywot" słowa „światło" i „życie", stąd czasowniki orzeczeniowe mają końcówki rodzaju nijakiego, co nie jest bez znaczenia dla tłumaczenia tekstu ani dla odnoszenia tych czasowników do ich podmiotu.

Jest jednak inna jeszcze odmiana w nowym przekładzie Prologu, w wierszach mianowicie 3 i 4, na którą mam obowiązek zwrócić uwagę, bo ona znów musi wywołać różne zdania.

U Wujka czytamy: [3]„Wszystko się przez nie (Słowo) stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało. [4]W nim był żywot, a żywot był światłością ludzi".

Te same wiersze w przekładzie X. Szczepańskiego: [3]„Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało. To, co się stało, [4]w Niem było życiem, a życie było światłem ludzi".

Wydanie tekstu greckiego Nestlego z r. 1915 ma tu punkt po słowach „co się stało", tak że słowa te należą, jak u Wujka, do wiersza trzeciego, a nie do czwartego „W Nim był żywot".

Mojem zdaniem zmiana ta nie była tu wcale konieczną i można było wspomnieć o tem tylko w komentarzu. Rozumie się samo przez się, że przy lekcyi, jaką przyjął Autor, musiało wypaść odpowiednio tłumaczenie i komentarz.

Inna odmiana, polegająca znów na przesunięciu znaku pisarskiego, tym razem tylko przecinka, odnosi się do Łukasza 2. 14. Czytamy u Wujka: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli". X. Szczepański zaś oddaje to miejsce w ten sposób: „Chwała Bogu w niebie i na ziemi; pokój ludziom dobrej woli".

Tekst grecki w wydaniu Nestlego, Wulgata i liturgia nasza wypowiada się znów stanowczo po myśli tłumaczenia Wujkowego.

Inna odmiana dotyczy miejsca u Jana 2. 4. W tłumaczeniu starem czytamy: „Co mnie i tobie niewiasto"? Tłumaczenie zaś nowe oddaje to miejsce tak: „Mnie to zostaw Niewiasto".

Tekst grecki i Wulgata są znów po stronie Wujka, a świeżo zwrócił już uwagę prof. Sinko, że można tu słowa Ewangelii brać dosłownie, jak są w tekście greckim i rozumieć je inaczej i prościej, niż je rozumie X. Szczepański.

Z innych odmian zwrócę jeszcze uwagę na niektóre:

przekład Wujka:	*przekład nowy:*
kraj szaty	strzępce
rozwiązać rzemyk u trzewika	nosić sandały
przyjdź i chodź za mną	przyjdź i naśladuj mnie
królestwo przeciw sobie rozdzielone	królestwo, które szarpie niezgoda
i zbierasz, gdzieś nie rozprószył	a zbierasz, gdzieś nie przewiewał
Ufajcie!	Odwagi!
ucisk	udręka
kto się ze mnie nie gorszy	kto o mnie nie wątpi
targał taśmy (któremi obwiązywano zmarłego)	kurczowo szarpał prześcieradła
ślepe, chrome, ułomne	ślepych, chromych, jednorękich
kamień, który odrzucili budujący	głaz odrzucony przez budowniczych
a bankierów pieniądzie rozsypał	rozsypał drobny pieniądz zmieniającym
46 lat budowano ten kościół	46 lat temu zaczęto budować ten kościół
Duch kędy chce, tchnie.	wiatr wieje, kędy chce
nie masz i czem czerpać	nawet czerpaka nie masz
Początek, który i mówię wam	Po co w ogóle Ja jeszcze do was przemawiam?
Duch święty zstąpi na cię, a moc Najwyższego zaćmi tobie. Przetoż i co się z ciebie narodzi święte, będzie nazwane Synem Bożym.	Duch święty zstąpi na Cię i moc Najwyższego by obłok Cię ogarnie; a przeto święta Istota, która się z Ciebie narodzi, będzie Synem Bożym.

Mnóstwo innych odmian pomijam.

Zmiany te w znacznej mierze pochodzą stąd, że Autor zwracał uwagę szczególniejszą na tekst grecki, a według tekstu greckiego, podług słowników, powinnyby być takie słowa jak „strzępce" „jednoręki" i t. p. „Strzępce" w szczególności oznaczają sznurki z frenzelkami, jakie dziś jeszcze można widzieć u naszych chłopców żydowskich na prowincyi przy specyalnego rodzaju jakby kamizelce noszonej w lecie. Także różnego rodzaju „napewno", podawane przez Autora w klamrze, są jedynie wyrazem wzmocnienia, jakie ma tkwić w greckiem przeczeniu „me", ale to „napewno" wydaje mi się w wielu miejscach tekstu całkiem niepotrzebnem.

O niektórych z tych odmian zdania recenzentów muszą wypaść rozmaicie. Osobiście zajmuję w tego rodzaju rzeczach stanowisko konserwatywne, tem samem zatem przy wielu odmianach oświadczyłbym się stanowczo raczej za tekstem Wujkowym.

Z drugiej jednak strony należy podnieść, że mnóstwo zmian Autor wprowadził z wielką korzyścią dla przekładu polskiego.

Prawdopodobnie nie wszyscy poloniści zgodziliby się na konsekwentne zastępowanie Wujkowych „puszcza" „pustynia" przez „pustkowie" „pustkowia", ale wszyscy niewątpliwie przyjmiemy z zadowoleniem zamiast „gumna" „spichlerz", a zamiast „winnej macicy" „winny szczep". Być może, że z różnych względów nie jest rzeczą wskazaną kłaść niemal wszędzie słowo „Mistrz" zamiast dawnego „Nauczyciel", lub że nie jeden przyjmie obojętnie zamianę „statków" na „bukłaki", a „źdźbła" na „drzazgę"; z pewnością jednak każdy przyjmie chętnie „belkę" zamiast „tramu" i „ale to wyjdzie wam na świadectwo", zamiast Wujkowego „a polka was na świadectwo" (Łuk. XXI. 13).

Ze względów czysto naukowych wyniknęły takie zmiany, jak „przy Owczej bramie sadzawka" zamiast dawnej „sadzawki Owczej" lub „Hellenowie" zamiast „pogan". Do tej samej kategoryi należy Łuk. II. 2, które to miejsce Wujek tłumaczył tak: ten popis pierwszy stał się od starosty syryjskiego Cyryna. Miejsce to X. Szczepański przełożył w ten sposób: „Tego spisu dokonano, zanim Kwiryniusz został wielkorządcą Syryi". Zmiany te wydają się uzasadnione.

Co do komentarza, podkreślę, że jest on wyczerpujący i gruntowny, gdzie chodzi o stronę lingwistyczną i geograficzną tekstu.

Autor z góry zastrzegł się, że nie będzie podawał rzeczy, należących do ascezy i apologetyki. Co do apologetyki, mniemam, że jej w żaden sposób z komentarza eliminować nie wolno; ale też uważam za obowiązek przyznać, że wiele jego wyjaśnień służy właśnie bardzo dobrze celom apologetycznym.

Mam wrażenie, że przydałyby się były jeszcze uwagi obszerniejsze, uwzględniające w szerszej mierze myśl główną całych wierszy, czy nawet pewnych ustępów.

Na tych krótkich uwagach poprzestanę.

Podniosłem wprawdzie pewne wątpliwości w szczegółach, ale one nie mogą być ujmą dla wielkiego dzieła, jakiem jest bezsprzecznie nowy przekład X. Szczepańskiego. Podobnego przekładu mogłyby nam pozazdrościć niezawodnie inne narody, od nas szczęśliwsze.

Przekład cały, gdyby nawet w nim w przyszłości pewne drobne zmiany miały być pożądane i usprawiedliwione, stanowi wielką rzecz w literaturze naszej religijnej, w naszem nawet życiu narodowem. Jest to wielka nasza zdobycz. Jeśliby zaś w wątpliwościach, podniesionych przezemnie, ktoś chciał się dopatrywać, jak to miało mieć miejsce przy sposobności uwag moich nad Wstępem (por. Gaz. Kość. Nr. 31 z r. 1916 str. 369—370) pewnych tendencyi natury osobistej i nizkiej, to niech przyjmie do wiadomości, że insynuowanie komuś podobnych tendencyi bez dowodów jest rzeczą wstrętną i że Autor „Czterech Ewangelii" nie potrzebuje marnych pochlebstw, stoi bowiem, jako człowiek nauki, wysoko, a Pismo św. zasługuje chyba na to, aby je traktować z największą czcią i rozwagą. Nie mam żadnego powodu nie cieszyć się z pracy naukowej X. Szczepańskiego, który przynosi nam chlubę także zagranicą. Ale właśnie dlatego spokojny jestem o zasłużone imię Autora i uwagi, jakie mi nasuwa obowiązek recenzenta, wypowiadam bez wahania.

Raz jednak jeszcze powtarzam, że nowy przekład wraz z Wstępem jest dziełem pomnikowem, że jest w ogólności czynem wielkim, i godnym odradzającej się Ojczyzny, że wdzięczność wielka należy się ze strony Kościoła polskiego i polskiej nauki katolickiej Autorowi za dokonanie tego przekładu, a nie tylko jemu, ale także tym, którzy Autora wśród jego trudu i znoju, przy ustalaniu w szczególności tekstu polskiego, wspierali i byli mu czynnie pomocni.

Teraz oczekuję jeszcze z upragnieniem dalszych tomów, w których ukażą się Dzieje Apostolskie, Listy Katolickie i Apokalipsa, a wreszcie Listy Pawłowe.

X. Szydelski.

Bibliografia.

W 230 rocznicę odsieczy Wiednia. Marek d'Aviano. Kapucyn. Rzeszów, 1916. Stron 15.

Starania o beatyfikacyę tego świątobliwego Sługi Bożego, który tak wybitny miał udział w odsieczy Wiednia, zaczęły się po kongresie katolickim w Wiedniu z r. 1889. U nas mało jeszcze kto zajmuje się tą sprawą, dlatego dobrze zrobił czcig. X. prowincyał OO. Kapucynów w Sędziszowie O. Konstanty Jaroń, wydając tę broszurę, bardzo dobrze napisaną, która zapoznaje czytelników ze zbożną działalnością Marka d'Aviano. Autor uprasza na końcu wszystkich, którzyby o nim coś autentycznego wiedzieli, o udzielenie tych wiadomości. Przyjmuje też z wdzięcznością datki na proces beatyfikacyjny. Prośbę tę popieramy usilnie.

Redakcya.

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

Dnia 9-go b. m. będzie mówił X. Dr. Thullie „o radykalnych środkach stłumienia alkoholizmu". Po referacie porozumienie się w sprawie terminów, w których młodzież szkół lwowskich ma przystąpić w tym roku do Sakr. Bierzmowania.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac.

Instytucyę kanoniczną na probostwie w Bełzie otrzymał X. Kazimierz Łoziński, prob. w Bóbrce.

Zmarł X. Stanisław Swidecki, prob. w Dzikowie starym, w 54 r. życia, a 31 r. kapłaństwa. — *R. i. p.*

Dyec. krakowska.

Odznaczony expos. canon. X. Stanisław Makowski, kapelan wojskowy.

Zamianowani XX.: Władysław Jelonek, katecheta szkoły rolniczej w Czernichowie, administratorem probostwa w Graboszycach; Antoni Jochemczyk, wik. w Białej, katechetą tamże.

Prezentę na prob. w Przytkowicach otrzymał X. Stanisław Żądło, administrator miejscowy.

Przeniesieni XX. katecheci: Jan Sadowski, ze szk. realnej w Żywcu do szk. rolniczej w Czernichowie; dr. Władysław Wicher do szk. real. w Żywcu, gdzie zarazem został mianowany kooperatorem.

Przeniesieni XX. wikarzy: Jan Litwin, z par. św. Szczepana w Krakowie do Zakopanego; Władysław Kras z Żywca do Lipnika.

Urlop otrzymali dla poratowania zdrowia XX. Michał Sitarz i Franciszek Sitko, obaj wikarzy w Trzebini, których zastępuje tymczasowo X. Piotr Jurka, wik. w Nowej Górze.

Święcenia kapłańskie otrzymał Tadeusz Petrzyk, ze Zgrom. XX. Misyonarzy.

Dyec. przemyska.

Odznaczony exp. can. X. Józef Łania, prob. w Olszynach.

Prezentę otrzymali: na prob. w Dydni X. Kazimierz Lach, miejscowy administrator; na prob. w Czermnej X. Adam Wojnarowski, katech. szkoły 5 kl. w Kołaczycach.

Zamianowany ekspozytem w Bonowie X. Jan Dołowy, czasowy deficyent.

Przeniesieni XX.: Paweł Szarek, administrator w Łączkach Jagiellońskich, na posadę wikarego do Borku Starego; Stanisław Batuk, wik. w Borku Starym, do Dobrzechowa; Jan Zajdel, ekspozyt w Bonowie, do Tyczyna.

Dyecezya tarnowska.

Instytuowany na prob. w Dąbrowie X. Franciszek Słowiński, prob. w Żeleźnikowej.

Korespondencya Redakcyi.

X. W. Witk. Za G. K. należy się jeszcze tylko dodatkowo za r. 1916: 3 kor. (dostałem 11) i za r. b. 14 kor. — za Mies. Kat. za r. 1916 i 1917: 14 kor.

X. K. S. w M. Dziękujemy, — zamieścimy w najbliższym czasie.

X. Ł. w Buk. Otrzymaliśmy i bardzo dziękujemy.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.